



WIARUS

PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



R o k i t n a.

Po paru godzinach krótkiej nocy wstał dzień 13 czerwca. O świcie wyruszyło pod komendą plutonowego Brody kilka patroli i kilku jeźdźców meldunkowych odłączyło się od szwadronu. Bitwa pod Rokitną zaczynała się na nowo.

Po godz. 6-ej, jeździec ordynansowy przywiózł nam galopem rozkaz odmarszu na pozycję. W kilka minut zebrały się szwadrony z nabytą w ciągu tyłu miesiący wprawą i poklusowały wzdłuż rzędu samochodów korpusnego sztabu na pozycję artylerii.

Na polu kwitnącej niebiesko lucerny przyszło nam wśród cudownego słonecznego dnia spędzić parę godzin oczekiwania. Południe mijało, gdy niespodziewanie nadjechał z bratem swym rotm. Wąsowicz. Głośnie hurra! powitało jego przybycie. Rotmistrz uśmiechem witał swoich ułanów, patrzył po szeregach, w obawie, czy w ciągu tych dwóch dni jego nieobecności—pierwszych od początku wojny—nie ubyło którego z żołnierzy, a dochodząc do oficerów zawołał: „Nie szarżowaliście jeszcze, a bałem się, że się spóźnię, choć zdrowszy jeszcze nie jestem zupełnie—wróciłem, bom się zbyt za wami stęsknił“. Za jego przybyciem posypały się znów żarty, wesołe rozmowy i ożywione dyskusje na temat naszej i środkowo-galicyskiej ofensywy.

W pół godziny później nadjechał ordynans ze sztabu brygady, powołując rotmistrza. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Koniom podciągnięto pasy, szwadrony posunęły się o dwa staja naprzód. Na wzgórku stał rotmistrz z szefem sztabu kapit. Wąsaszem i śledził ruch jego ręki. Chwilę coś tłumaczył, o coś się pytał, a potem do nas zwrócił i gromkim głosem krzyknął: „Na koni!“.

Szwadrony ruszyły klusa wzdłuż niedawno wykopanych rowów strzeleckich. Przed nami, o 4 klm. w dół, ciągnęła się wieś Rokitna, przed nią rzeka—to granica Besarabii. Na lewo o kilka tysięcy kroków—las; między lasem a wsią faliste błonie; na niem widać kilka wiatraków.

Jedziemy w lewo, w kierunku lasu, rozwiniętym szykiem. Pada rozkaz: „Wachmistrz Rostworowski, kaprale Eisermann, Kossowski, spatrolują las“. Plutonowy Swiżdziński obejmuje komendę nad trzecim plutonem—patrole

ruszają z kopyta. Szwadrony za nimi jadą klusa. Nadeżdżają nad bagnistą rzeczkę. Konie zwalniają mimowoli tempo. Spostrzegł to rotmistrz: „Dla polskiej kawalerii niema przeszkody”—krzyknął i przesadził pierwszy na swej „Hochli” mętną rzekę. Za nim w trop wszyscy inni, choć brzeg stromy, urwisty.

Dywizyon skręcił w prawo na błonie za wsią. Gdy mijał okopaną naszą tyralierę piechoty, rotmistrz zawrócił konia i dał komendę:

„Trzeci szwadron w rezerwę pod wieś! Drugi szwadron: — Dobądź broń—tyralierą co trzy kroki za mną — galop!” i sam pomknął na 50 kroków naprzód.

W dali widnieją rosyjskie okopy. A od okopów—to tu—to tam odzywa się strzał. Kule zaczynają zrzadka brzęczeć koło uszów. Ruszyły konie marsz — marsz, rozwarły się szare ułanki od pędu, zacisnęły silniej dłonie na gardach pałaszy, zabłyśły oczy radością.

Więc w końcu upragniona chwila nadeszła... chwila—o jakiej, dzieckiem będąc, każdy z nas czytał w historii i powieści, więc my jedziem na ułańską szarżę, więc za chwilę wpadniemy na wroga i ciąć, rąbać będziemy.— Co nam kule! co strzały!—my jedziem—polska kawaleria...

Rozświeciły się twarze żołnierskie i z sześćdziesięciu młodych piersi krzyk wypadł: Hurra! A Topór im przewodzi, bo woła: „Naprzód polskie ułany, naprzód stara wiara!”

Chwila dziwna, chwila tak osobliwa, że ten, co ranny wracał ze szarży, mówił mi: „Gdybym wiedział, że w drugiej szarży rękę bym miał stracić — takibym pojechał”.

Rwali długim, szerokim rzędem, a równo, jak nigdy na żadnych ćwiczeniach. Kule idą coraz gęściej, jak rój os nadlatują. Zachwiał się w siodle jeden, tego jeszcze prawie wszyscy widzieli — to Kubik z trzeciego plutonu. Zachwiał się, padł z konia twarzą do ziemi i na niej bez ruchu pozostał. Kula w czoło trafiła. Kara klacz jego „Mucha” z rzędu się nie wyłamała: szła bez jeźdźcy dalej.

Trafili na pierwszy rów strzelecki. Był pusty. Skoczyli rzędem, jak jechali — nie wszyscy. Koń z wachmi-strzem Wąsowiczem zwałił się w rów, potem zerwał się i pogalopował dalej. Jeździec z pod kul wyszedł cało.

Za tym rowem drugi, ale już obsadzony piechotą. Jadą nasi, tylko że kule gęściej lecą, że częściej trafiają. Ubiły „Fausta” pod Brinkenem, jemu rękę i bok przesy-

ły. Stachura dostał ich dwie w piersi, ranny wali się Janiszyn, kontuzyjowany Szczepan, koń padł pod Polańskim.

Skoczyli w drugi rów — nie wszyscy. Pod Sokołowskim koń padł, przysgniatając go ciężarem. Nadbiegł Rothkael, wołany o pomoc — odkrzyknął „Wedle rozkazu!“ Dźwignął konia i wachmistrza uratował. Sam dostał też kulę. Kapral Szperber ma ich trzy w obu stopach, por. Fąfara jedną, ale bolesną, w pachwinę, konie ich ubite. Na lewo, na wzgórk, osunął się wachm. Adamski z „Gorgony“, trafiony w czoło. Cierpieć długo nie mógł, padł na wznak, ręce w krzyż rozłożył i tak już pozostał. „Gorgona“ jego, lekko ranna, do wsi zawróciła. Zwalił się kary ogierek „Murzyn“ (pod plutonowym Świdzińskim i „Siwka“ pod kapr. Liszką — wrócili obaj. Osunął się ranny Garbaczewski, koń jego poszedł za innymi, lecz wnet zawrócił do swojego pana — i stał bezradny nad leżącym ułanem — jak w bajce, a było to prawdą. Szrapnel go zranił i wówczas dopiero do wsi pomknął.

Byli może i inni ranni, ale tego nie czuli, bo gnali dalej. Przed nimi na sto kroków ciągnął się już nie rów, ale darnią kryty okop strzelecki. Sto strzelnic patrzyło na nich, a z każdej wystawał najeżony bagniet. Gęsto było moskali jak mrowia. Cóż dziwnego, wszak cały pułk był obasadą rowów. Pada salwa, druga — trzecia — dziesiąta. Chwilę zaterkotały karabiny maszynowe z czwartego okopu, ale głos ich się zgubił w ciągłym huku broni palnej. To nie kule pojedyncze szły już na jeźdźców i nie po jednej koło nich syczały — to szły ich roje, wydając jeden przeciągły syk.

W okopie z lewej strony była przerwa. Na wiodącą tam drogę skrzył rotmistrz, skrzyłi i inni. Nie wszyscy — Łuszczewski już leżał.

Rotmistrz krzyknął: „Zdawaj się!“ i stała się rzecz nieoczekiwana. Ci ukryci w głębokim okopie żołdaci rosyjscy, których ułani nawet szablą dosięgnąć nie mogli, zdrętwieli na widok pędzących, ręce wzniesli do góry i o zmiłowanie prosili.

Okop był zdobyty. Ale z lewej i prawej flanki ogień nie zesłabł: owszem wzmógł się jeszcze.

Padła „Hochla“ pod rotmistrzem, chcieli go ratować — dał znak ręką, by jechali dalej, z rewolwerem w ręku zerwał się, strzelił kilkakrotnie wzdłuż okopu, ale wnet się zachwiał, ślaniając się, przeszedł kilkanaście kroków

i upadł z przestrzelonym na wylot bokiem. Krew musiała gwałtownie uchodzić, osłabł—i usnął na wieki.

W tej samej chwili padł por. Włodek, trafiony w usta. Pod Toporem koń się zwałił, jeździec bronił się rewolwerem i padł, przeszyty dziesięcioma kulami. Ale Jagrym wpadł przez bramę, za nim Kuszel, dwóch Chwalibogów, Senowski, Stembart i inni. Zajechali na moskali z tyłu. Kilka koni okop wprost przesadziło. Już Kuszel płątnął jednego piechura w głowę, więc znów krzyknęli, że się poddają, a w piersiach tych kilkunastu ułanów, co tam dojechali, zbudziło się uczucie tryumfu: zdobyli okop!

Ale z okopów rezerwy, ciągnących się łukiem, aż pod wieś, padły nowe salwy. Zginął Rakowski. Ranny w nogę i rękę, Jagrym osunął się z konia. Padł Nowakowski. Na ten widok moskale z frontowego okopu znów chwytają za karabiny, na dwa kroki palą do ułanów.

W tem z góry pada szrapnel, kartacz, czy granat — skąd szedł—niewiadomo, czy od armat, które ostrzelały przed chwilą boczny patrol Rostworowskiego pod lasem, czy od tych, które stały o 200 kroków za okopem, czy jeszcze od innych—niewiadomo. Dość, że pociski trzaskały w środku rosyjskiego okopu i jednym wybuchem zwały nam pięciu ułanów. Kapral Karol Karasiński, Tworkowski, Starczewski, Zwatscke i Majda padli w proch i zastygli, dzierżąc w dłoniach szable. Upadł z koniem kapral Bokalski z raną w rękę, który, udając zabitego, dał się w nocy obrabować, potem wypełznął z pod okopu, ubił kolbą placówkę rosyjską i przyniósł do naszego sztabu meldunek o rozkładzie rowów. Ranni padli Sierhiejewicz, Jakubowicz, Krawczyński, Prokop, Maetschke, Chwalibóg Mieczysław, Łabędzki—zagarnęli ich potem moskale. Stembart, Kułakowski, Ściborowski, i Firlit, choć ranni, ale wrócili przez wieś, Eugeniusz Potok-Łada i Szysz zginęli na miejscu.

Na koniach zostało ledwie sześciu. Widzieli w dali artylerję rosyjską — ale sześciu to było zamało. Skręcili pod ogniem okopu rezerwy do wsi, pod szrapnelami ją przejechali i do linii naszej tyraliery powrócili.

Szarża była skończona. Ustały strzały, cichły jęki konających i rzenie koni. Trzeci szwadron powstrzymano rozkazem już wcześniej, planowany atak piechoty odwołano.

Przy granicznej rzeczce zbierali się ci, co wrócili z szarży i z pod lasu. Opatrzono rannych, starano się obliczyć zabitych. Brakowało wielu.

Pod wieczór tego dnia wystąpił przed placówki naszej piechoty lekarz Więckowski i, nie bacząc na gwizd kul, skierowanych do niego, niósł do okopów rosyjskich list z prośbą o wydanie rannych. I byłby to może uzyskał, gdyż z drugiej strony wystąpił oficer z białą chustą, lecz fatalna pomyłka rozłożonych na skrzydłach placówek udaremniła ten zbożny czyn.

Pod osłoną nocy wycofali się moskale z okopów, podążając w głąb Besarabii. Gdy tylko doszły o tem meldunki, wyprawiły się patrole 2-go i 3-go szwadronu i objechały całe pobojuwisko. Kto je wtedy widział, będzie je pamiętał do śmierci.

Z tych skrwawionych zwłok bohaterów, z tych zaciśniętych w dłoniach pałaszy, z tych postrzelanych tępów konskich, rozsianych tem gęściej, im bliżej ostatnich okopów i pustych dziś pozycji artylerji, bił jeszcze pęd wczorajszego ataku. Zwłoki porąbanych wśród okopów moskali, świadczyły o tem, że nie jeden z naszych ułanów drogo sprzedał swe życie. Rannych zabrali pierwotnie rosyjanie ze sobą, lecz przy dalszej ofensywie odnalazł trzech wachm. Konarski z 3-go szwadronu w sąsiedniej wsi Dniowcach.

Zwłoki zabitych złożono na wozy, ubrano kwiatami i przewieziono przez Bukowińską granicę do Rarańczy.

Nazajutrz odbył się pogrzeb 15 ofiar krwawej szarży. Na wioskowym tamtejszym cmentarzu leżą nasi ułani, a pieśń armat i nieustannych do niedawna bitew na tym szlaku chocimskim grała im pogrzebną pobudkę.

Z pomiędzy rannych dwóch jeszcze zmarło w następnych tygodniach: Bazyli Janiszyn, w szpitalu w Czerniowcach, i Władysław Scibor-Sierhiejewicz w Czerkasach na Ukrainie.

St. Rostworowski.



Pobudka.

(Śpiewana w szwaaronie ułanów s.p. rotmistrza Zbigniewa Wąsowicza).

*Zbudź się! z gnuśnej powstań leży!
Czas uderzyć w czynów stal,
Świt już błysnął u rubieży,
Odgłos trąbki płynie w dal...*

*Stań, kto Polak! Orzeł biały
Skrzydła już rozwinął w lot.
Surm bojowych brzmiały sygnały,
Napnij łuk, niech padnie grot!*

*Piersią młodą niech zatarga
Groźny, słuszny, święty gniew!
Już przebrzmią cicha skarga,
W bój za wolność: walcz jak lew!*

*Płynie w słońcu orzeł biały.
Słyszysz poszum jego piór?
Surm zwycięskich brzmiały sygnały,
To wolności świętej chór!*

Kasper Żelechowski.

Bitwa pod Kirchholmem.

(dnia 27 września 1605 r.)

Przylączone do Polski za Zygmunta Augusta w r. 1561, Inflanty stały się później teatrem wojny szwedzko-polskiej, która z przerwami trwać miała 60 lat. Pokryte bagnami, moczarami, jeziorami i lasami przedstawiały teren trudny i ciężki dla operacji wojskowych. Skutkiem słabego zaludnienia i ubóstwa środków żywności trzeba było tu uciekać się do dowozów, możliwych jedynie latem lub zimą, gdy rzeki i bagna zamarły.

Oddzielone od Litwy Dźwina, Inflanty przytykały do Moskwy od wschodu, do Bałtyku od zachodu, a do Estonii od północy.

Szwedzi, dzięki flocie, mieli przewagę nad Polską. Mogli oni zawsze w dowolnym punkcie wybrzeża wysadzić wojska i niespodzianie rozpocząć działania zaczepne.

Prowadzenie wojny utrudniał Polsce niepomierzenie opłakany stan jej skarbu. Dzięki niemu rząd polski, wypłacając żołd gorzej jak nieregularnie, nie tylko że skazywał żołnierzy na głód i choroby, ale pozbawiał wojsko obrotności, gotowości bojowej, burzył karność, dopuszczał do rozchodzenia się i szukania w królewszczynach (dobrach koronnych) litewskich ratunku przed śmiercią głodową.

Dowódcy nie zajmowali się wówczas dostawą prowiantu dla wojska, a żołd służył żołnierzowi nie tylko na pokrycie kosztów żywienia, ale co więcej miał starczyć na zakupno i utrzymanie konia, taboru, broni i amunicji.

To też tylko swym hetmanom: Zamojskiemu, Radziwiłłowi i Chodkiewiczowi może zawdzięczać Polska to, że w pierwszych latach wojny Inflanty nie dostały się odrazu w ręce szwedzkie. Udziałem osobistym w ponoszeniu trudów i niewygód ciężkich wypraw podtrzymywali i dodawali hetmani ducha wojsku, a z własnej kieszeni wypłacali często żołd żołnierzowi, który bił się wybornie. Sława polskiego oręęża, wraz z wieściami o ciągłych klęskach szwedzkich, rozchodziła się szeroko po świecie. W latach 1600 — 1604 urządziła Szwecya 5 wypraw, które przyprawiły ją w siedmiu większych bitwach o stratę przeszło 24000 poległych, a razem z rannymi — 50000. Klęski te, względnie straty całych wojsk, nieraz tak demoralizowały Szwecję, że szlachta wzbraniała się pełnić obowiązkową służbę konną.

Kluczem Inflant i podstawą operacyjną wojsk polskich była Ryga. W niej można było zaopatrywać się w środki pieniężne, w żywność i amunicję. Przez nią wiodła droga w głąb Rzeczypospolitej. W niej ogniskowało się życie handlowe nie tylko całych Inflant, ale i części Litwy i Kurlandyi. Zdobywca Rygi stawał się odrazu panem całych Inflant.

To też Karol IX, król szwedzki, a stryj Zygmunta III, króla polskiego, postanowił Polsce wydrzeć Inflanty przez zdobycie Rygi. Znacznej pomocy finansowej udzielił mu car moskiewski, Borys Godunow. Do wyprawy użył 14000 wojska szwedzkiego, złożonego ze szwedów, anginików, szkotów, Niemców, Finów, walonów i francu-

zów. Pod Rygą, w połowie sierpnia, wylądował generał hr. Mansfeld w 4000, a pod Rewlem— generał Linderson w 5000. Mansfeld, popierany przez flotę, rozpoczął oblężenie Rygi; Linderson zaś z Karolem IX, który w 5000 wylądował pod Parnawą, mieli zamiar, posuwając się na południe, zająć słabo obsadzone twierdze, by następnie złączonymi siłami uderzyć na Rygę.

W chwili wylądowania sił szwedzkich naczelna komenda polska była w rękach hetmana polnego litewskiego, Karola Chodkiewicza, rozporządzającego bardzo szczupłą, bo liczącą zaledwie 5000 ludzi, armią polsko-litewską. Z tej liczby należy jeszcze potrącić załogi Rygi, Dyamentu, Dorpatu, Kiesi, Felina i Białego Kamienia, przez co do działań w polu pozostało tylko 2400 jazdy i 1000 piechoty. Siły były nierówne: wobec liczebnie silniejszego szweda Chodkiewicz znalazł się w nader ciężkiem położeniu. Lecz hetman, odznaczający się rzutkością, śmiałością i prędkością ruchów, uniemożliwił szwedom opanowanie pomniejszych miast i zamków.

Wobec tego Karol IX z Lindersonem pomaszerowali na południe wzdłuż wybrzeża, pokrytego nieprzerwanie lasami od Parnawy aż po Rygę. Płynąca równolegle flota zapewniała im pomoc; lasy chroniły przed atakiem konnicy polsko-litewskiej. Dnia 23 września złączyli się oni z Mansfeldem pod murami Rygi, którą przy pomocy załogi okrętowej poczęli oblegać energicznie.

Szlachta inflancka opuszczała zupełnie sprawę Polski i łączyła się ze szwedami, podczas gdy mieszkańcy Rygi, choć niemcy i protestanci, oświadczyli kategorycznie Karolowi IX, że będą bronić się do ostatka i nie złamią przysięgi, złożonej na wierność królowi polskiemu.

Już drugiej nocy z dnia 24 na 25 września, przy pomocy aproszy (przykopów, Laufgraben), szwedzi zbliżyli się na tyle do rowów otaczających Rygę, że mogło się rozpocząć podkopywanie. Z dział oblężniczych, między którymi były dwa ogromne, zwane „dyabeł i dyabla matka“, ostrzeliwano miasto rozpalonemi kulami.

Chodkiewicz, który manewrował równolegle do szwedów ku Rydze, stanął 18 września w Kiesi i przyczaił się, chcąc ich zwabić w głąb kraju i porazić przy przeprawie przez rzekę Gawię. Szwedzi jednak nie opuścili lasów, lecz pomaszerowali prosto na Rygę. Wtedy hetman, oceniając całą grozę położenia, postanowił wyjść z niego za pomocą desperackiej wręcz decyzji. Rozstrzygnięcie kwe-

sty, kto ma być panem Inflant, powierzył szabli; postawił wszystko na jedną kartę i ostatecznie wygrał. Słabszy liczebnie, ruszył na odsiecz Rydze, używając równocześnie księcia kurlandzkiego Kettlera do pomocy. Po ośmiu dniach przygotowań pod Kiesią, pokrzepiwszy wojska na ciele i duchu, pomaszerował w kierunku Dźwiny. W 36 godzinach przebył przeszło 80 klm. w prostej linii, maszerując fatalnymi drogami leśnymi, i 26 września wieczorem stanął obozem między Iskielem (Uixküll) a Kirchholmem nad Dźwiną, o 15 klm. od Rygi.

Na wieść o zbliżaniu się Chodkiewicza król szwedzki zwołał radę wojenną, na której postanowiono wstrzymać oblężenie i wszystkimi siłami jeszcze przed świtem rzucić się na niego, korzystając z tego, że będzie miał wojsko znużone niepomiernie tak forsownym marszem. Po radzie wojennej urządzono ucztę, podczas której przyprowadzono pojmanego husarza polskiego, Krajewskiego. Generałowie szwedzcy podziwiali jego rycerską postać, kosztowną zbroję o orlich skrzydłach i lamparciej skórze, oraz spokój i powagę w niedoli. Niepytany, wprost oświadczył królowi szwedzkiemu, że hetman, mimo znużenie wojska, gotów jest stoczyć bitwę z tą garstką żołnierzy, jaką posiadał.

O 10-ej w nocy uczta skończyła się i wojsko szwedzkie, liczące 11,000 piechoty i 3,000 jazdy, ruszyło ku Kirchholmowi, aby nagłym napadem zgnieść garstkę polaków i litwinów. Zaćmienie księżyca, jakie miało miejsce tej nocy, wpłynęło niekorzystnie pod względem moralnym na zabobonnych szwedów.

Teren przyszłej bitwy nie ułatwiał polakom ich zadania. Wzdłuż prawego brzegu Dźwiny, między lasem a rzeką, biegł gościniec z Rygi do Dynaburga, który pod Kirchholmem przechodził wolną przestrzeń, mającą blisko 6 klm. kwadratowych, która niegdyś była wyspą na Dźwinie. Po wschodniej stronie tej dawnej wysepki biegło koryto rzeczne, wówczas od Dźwiny po Kurtenhof całkiem wyschnięte, tylko na północy bagniste, poprzecinane rowami osuszającymi, a więc trudne do przebycia dla konnicy. To suche koryto miało przeciętnie 350 kroków szerokości, a łagodne brzegi nie mogły tamować poruszeń wojska. U południowego krańca tej wysepki wznosił się kościół z XII w., od którego utworzono nazwę miejscowości Kirchinsell-Kirchholm. Na wschód od suchego ko-

ryta rozciągały się pagórki, poza którymi ukrył Chodkiewicz garstkę swych wojsk.

(D. n.).

J. M.....i.



Wiadomości z taktyki piechoty dla żołnierzy.

Piechota w wojnie obecnej zajęła dominujące stanowisko, a z powodu rozwoju środków technicznych walki stała się bronią najbardziej złożoną. By sprostać swoim ogromnym zadaniom—musi mieć gruntowniej niż dawniej przygotowanych teoretycznie już nie tylko oficerów, lecz i żołnierzy. W poszczególnych wypadkach każdy żołnierz (zwłaszcza podoficer) może być zmuszony do powzięcia samodzielnej decyzji. Trafność takowej zależy całkowicie od zakresu posiadanych wiadomości o swej broni.

Idąc przeto naprzeciw dążeniu żołnierza do rozwoju wiedzy posiadanej, w artykule poniższym podamy w skróceniu te wiadomości, które każdy piechur posiadać powinien.

A ponieważ często i żołnierze innych broni znajdują się w położeniu piechura—przypuszczamy, że i dla nich nie będą obojętne rzeczy podane.

Oddziały wojskowe dla celów taktycznych tworzą jednostki bojowe, t. j. jednostki, które może kierować w boju jeden dowódca bezpośrednio. W piechocie za taką najmniejszą jednostkę uważamy—kompanię. Kompania administracyjnie liczy około 250 ludzi, bojowo nieco mniej. Czasu wojny widzimy tendencję do zmniejszenia liczebnego kompanii ze względu na trudności kierownictwa. Naogół liczebność kompanii waha się od 180 do 200 ludzi.

Mniejsze od kompanii jednostki: pluton i sekcya — są to pododdziały niesamodzielne, służące tylko do sprawniejszego wykonania zadania bojowego danej kompanii. Plutonów kompania posiada 3, zwykle pod dowództwem oficerów, liczebność ich zależy od składu kompanii. Sekcya—najmniejsza jednostka organizacyjna—znajduje się pod dowództwem podoficera i składa się z 8 ludzi, stojących obok siebie.

Dla ułatwienia kierownictwa wyższego kompanie łączy się w bataliony, po 4 w każdym, bataliony w pułki, po 3—4 na pułk, pułki w brygady, po 2—3, brygady w dywizye. Te ostatnie są to już jednostki złożone z urzech rodzajów broni. Najwyższą, ściśle jednorodną jednostką piechoty—jest brygada.

Podział ten wojska stosowany jest dlatego, ponieważ na podstawie praktyki przeszłości stwierdzono, że jeden dowódca, szczególnie niższy, znajdujący się w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela—nie jest w stanie opanować więcej ponad 3—4 jednostki.

Do uzbrojenia dawnej piechoty: karabinu i bagnetu wojna

obecna dodała sztylet, granat ręczny, maskę gazową, pozatem karabin automatyczny, maszynowy i działko piechoty.

Istnieje silne dążenie by już najmniejsze oddziały rozporządzały wszystkimi narzędziami walki. I tak widzimy, że kompania piechoty francuskiej, składająca się przeciętnie z 180 ludzi, posiada w swoim składzie: 32 żołnierzy z granatami ręcznymi, 16—z karabinowymi, 32 strzelców z karabinami automatycznymi, 8 żołnierzy bez karabinów do noszenia amunicji i 4 pionierów. Pozostali dopiero pełnią zwykłą służbę piechurów. Na każdy batalion, składający się z 3 kompanii, przypada 8 karabinów maszynowych i 1 działko piechoty.

Działalność piechoty zależną jest przede wszystkim od zdolności człowieka do poruszeń, względnie—szybkości jego ruchów i niemożności noszenia zbyt ciężkich narzędzi walki; pozatem—od terenu (miejsca walki) i środków technicznych, jakimi rozporządza.

Zdolność ruchowa i wytrzymałość człowieka znane są nam od najdawniejszych czasów i wiemy, że zmianie zasadniczej nie uległy. Przeciętnie żołnierz robić może 30 km. dziennie, nosząc narzędzia i pomoce do walki, których ogólna waga przenosić nie może 25—26 kg. (rynsztunek).

Wpływ terenu, wiemy, po zapoznaniu się z terenoznawstwem, jest też mało zmienny (o czem dalej).

Jedynie rozwój narzędzi walki ulega ogromnym i ciągłym zmianom, a przez to powoduje nowe sposoby użycia człowieka w walce. Ze zmianą przeto uzbrojenia zmienia się i taktyka piechoty.

Taktyka jest to sztuka prowadzenia boju. Gdy zaczynają świstać kule, zaczyna się zadanie taktyczne, którego jedynym celem—osiągnięcie zwycięstwa.

Taktyka, w zależności od narzędzi walki, wprowadza zmiany do szyków używanych dotychczas na podstawie praktyki przeszłości. Formacje, czyli szyki pozwalają nam na odpowiednie wykorzystanie sposobów posuwania się w terenie i należyte użycie narzędzi walki.

Obecnie używamy szyków zwartych i luźnych. Szyki zwarte służą nam przeważnie do marszów; z bojów zaś, dzięki sile osiąganego ognia, są prawie że wykluczone. Zasadniczym szykiem stosowanym w walce—jest szereg luźny, wymagający, jak wiemy, inicjatywy i wysokiego rozwoju zalet bojowych żołnierza. Od stopnia tego rozwoju zależy wynik walki; przy użyciu więc szeregu luźnego ujawnia się wpływ jednostki na walkę.

Ponieważ wojna każda składa się przeważnie z marszów—

szyki marszowe mają dla nas ogromne znaczenie i dlatego z nimi przede wszystkim powinniśmy się zaznajomić.

Maszerujemy zawsze prawie czwórkami, w t. zw. kolumnie marszowej, o szerokości frontu 4 kroków. Kolumna ta jest najdogodniejszym szykiem marszowym, przystosowanym niejako do szerokości naszych dróg, pozwalającym na pewne wygody żołnierzowi, o które zwykle troszczy się dowództwo. W tym też celu żołnierz powinien pamiętać o zachowaniu należnych odstępów, by kurz nie działał na płuca maszerujących z tyłu, oraz by pewne zakłócenia w marszu można było regulować bez zatrzymywania całej kolumny. W pobliżu nieprzyjaciela, rozumie się, wygoda żołnierza ustępuje na drugi plan wobec względów bojowych. Marsz tu odbywać się winien tak, by każdej chwili oddział mógł przejść do szyku bojowego.

W tym celu przechodzimy z kolumny marszowej do sekcyjnej, o szerokości frontu 5 kroków, pozbawiającej żołnierza całkowicie swobody. Kolumna ta jednak znakomicie skraca czas rozwinięcia się oddziału i ułatwia kierownictwo nad nim. Długość kolumny marszowej pułku wynosi 1800 kroków, czas rozwinięcia $\frac{1}{2}$ godziny. Gdyby więc konieczność zmusiła do rozwinięcia się z kolumny marszowej — już w pierwszej chwili pododdziały i żołnierze nawet zostają pozostawieni własnej woli, czego możliwie długo unika się w walce.

Prócz kolumny sekcyjnej przed rozwinięciem się oddziału stosujemy i kolumnę kompanijną, o szerokości frontu najmniej 15 kroków. Zastosowanie tej kolumny zmusza do marszu po polach, ponieważ drogi nasze są zbyt wąskie; pozwala wszakże należyście wykorzystać zasłony terenowe, czego skutecznie nie można przy rozwijaniu z kolumny sekcyjnej, pozatem kolumna taka ma większą elastyczność, bardziej nadaje się do wszelkiego rodzaju zwrotów. Marsz w kolumnie sekcyjnej, bądź kompanijnej ma zawsze powolne tempo i nigdy nie może trwać przez czas dłuższy, jako bardzo wyczerpujący. Uwaga żołnierzy w tym czasie winna się możliwie skupić, by przez ścisłe zastosowanie do woli dowódcy przyczynić się do urzeczywistnienia zamierzonego celu.

Przed wejściem do linii bojowej, o ile tylko czas na to pozwala, następuje t. zw. rozstawienie oddziałów. Rozstawienie odbywa się zwykle na podstawie planu walki. Oddziały poszczególne dochodzą do wyznaczonych sobie miejsc, skąd dopiero rozwijają się i zajmują pewne odcinki. Najczęściej dokonywa się rozstawienie pod osłoną straży przedniej, która, znalazłszy się w obliczu nieprzyjaciela, rozwija się i posuwa dalej w szyku lu-

żnym; w tym samym zaś czasie oddziały przechodzą na wskazane sobie miejsca.

Już przy wejściu pod rzadki ogień artyleryjski, a szczególnie karabinowy, którego rozrzut, jak wiemy, jest olbrzymi daleko poza liniami—posuwanie oddziału w szyku zwartym jest wykluczone. Pamiętać trzeba przytem, że zasłony terenowe od ognia artyleryi nie chronią, zwłaszcza na drogach planowo przez nieprzyjaciela pod ogniem trzymanych. Ponieważ ogień artyleryi często już o 6 km. za frontem nie pozwala na marsz w szyku zwartym, a posuwanie się w szyku luźnym (tyralierce) byłoby zbyt męczące, oddziały przechodzą do szyku pół rozluźnionego, t. j. ulegają rozdrobnieniu (schody, szachownice, równoległe) i w niewielkich odstępach od siebie posuwają się naprzód, wykorzystując wszelkie zasłony naturalne. Podział taki ograniczony jest zawsze organizacją taktyczną oddziału; nie wolno rozbijać poszczególnych jednostek, by nie zostawiać żołnierza samemu sobie. Gdyby jednak taki rozdział nastąpił poniewolnie — żołnierz sam, pomnąc, że „jeden wroga nie zwojuje“, starać się winien możliwie rychło do oddziału swego przymknąć.

Najdogodniej wyzyskiwać zasłony terenowe plutonami; nigdy zaś na mniejsze od sekcji oddziały rozdrabniać się nie należy. Posuwać się mogą takie oddziały zygzakowato, o ile znajdują się zdala od linii; możność ta jednak ograniczona jest zadaniami, oznaczonemi przez kierownictwo. Najmniejszy choćby oddział pamiętać musi o przywiązaniu do pewnego odcinka, na którym ma stanąć w linii. Podsuwanie się takie wpływa dodatnio moralnie i zwiększa siły przy wejściu na linię bojową.

W marszu więc zdala od nieprzyjaciela żołnierz zachowuje zupełną swobodę, dbając jedynie o porządek w marszu, co czyni ze względu na własne i współtowarzyszy dobro. Przy zbliżaniu się do nieprzyjaciela żołnierz przechodzi do szyku odbierającego mu swobodę która ustąpić musi przed względami bojowymi, uwaga jego skupia się na woli dowódcy, do którego stara się ściśle zastosować, pomnąc, że od porządnego wejścia w bój—często wynik takowego zależy.

W obrębie ognia artyleryjskiego, szczególnie zaś karabinowego, żołnierz ulega podziałowi na niewielkie grupy i z napiętą uwagą posuwa się naprzód, wykorzystując zasłony naturalne. Zadaniem jego wtenczas utrzymać łączność nierozrwalną ze swoją organizacyjną jednostką: sekcją, plutonem, by w czasie wejścia na linię nie pozostawać w odesobnieniu.

(C. d. n.).

W. Drojowski.

DAWNA PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA.

Któż nie zna piosenki „o żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem — idzie, z biedy i głodu przymierając czasem — наконец pada u nóg konika wiernego — a konik nogą grzebie mogiłę dla niego” — zapytuje prof. Tretiak w swem cennem studyum o dawnej pieśni żołnierskiej, drukowanem w drugiej seryi jego „Szkieców literackich”. — Jeżeli zaś nie zna jej całej i nie słyszał śpiewanej, to zna przynajmniej z tego echa, jakim się odzywa na cymbałach Jankiela w „Panu Tadeuszu”. Piosenka ta musiała przez szereg pokoleń krążyć z ust do ust, zanim po raz pierwszy ukazała się w druku w „zbiorze pieśni polskich i ruskich”, wydanym przez Wacława z Oleska w r. 1833. W tym samym zbiorze jest inna żołnierska piosenka polska, zaraz obok tamtej umieszczona:

Kto chce rozkoszy użyć,
Niechaj idzie w wojsku służyć,
Tam to rozkoszy użyje,
Naje się dobrze, napije
Iz gorzkich.

Obie te piosenki są niewątpliwie pochodzenia ludowego, a nie literackiego. Wnosić to można choćby z takich rymów, jak np.:

Witam, witam, *mospanowie*,
Czy daleko *brat na wojnie?*
albo też:
Dadzą mu z skarbu *karabin*,
Któremu w życiu *nie radby*.

Widać to zresztą po rozmaitych zwrotach i zestawieniach takich, jak np. „Lepiej w domu cepem buchać — Niż na wojnie bębna słuchać: — Lepiej w domu płoty grodzić — Niż na wojnie marszem chodzić” i t. d.

W rozbiórce pierwszej z tych piosenek prof. Tretiak słusznie zwraca uwagę, że ma ona i tę cechę ludową, iż jest jakby skupieniem dwóch lub trzech odrębnych piosenek, które się zrosły z sobą dzięki pokrewieństwom treści i tej samej budowie wiersza. Początkowych ośm wierszy, gdzie jest mowa o głodnym żołnierzu, który *idzie* lasem i któremu by trzeba „chleba, soli nie żałować”, stanowi motyw odrębny od tego, który się zawiera w następujących dwudziestu kilku wierszach, gdzie jest mowa o żołnierzu i jego koniku, a więc nie o pieszym, ale o konnym żołnierzu. Wreszcie zakończenie, złożone z kilkunastu wierszy, (lepszy w domu groch, kapusta i t. p.), wydaje się również jakby osobną całością.

Gdzie i kiedy powstały te pieśni, tak samo daremnie o to pytać, jak o pochodzenie i czas wielu innych utworów ludowych, nie przywiązanych do jakiegoś wypadku historycznego; na podstawie jednak porównania tych dwóch pieśni można przypuszczać, że druga jest późniejsza od pierwszej. Podczas bowiem, gdy w pierwszej niema ani jednego wyrazu cudzoziemskiego, z wyjątkiem słowa „żołnierz“, który już około połowy XVI wieku, jak świadczą utwory Bielskiego i Reja, miał w języku polskim prawo obywatelstwa, — w drugiej znajdujemy wyrazy cudzoziemskie, które dopiero w późniejszych czasach weszły do języka, jak: karabin, dobosz, felczer.

Obie żołnierskie pieśni polskie skarżą się i narzekają na los i życie żołnierza. Ale i w tym względzie zachodzi między niemi różnica. Żołnierz pieśni drugiej skarży się głównie na rygor wojskowy, surowość starszyny, obojętność kolegów, występuje on tu, jako człowiek zwiedziony i zawiedziony:

Kiedy żołnierza werbują,
Złote góry obiecują,
Potem tylko lenik dają,
Za to zdrowie odbierają
I życie.

W pieśni pierwszej niema skarg tak wyraźnych, jest tylko przedstawienie żołnierza, jako głodnego i źle odzianego, i przeciwstawienie szczęśliwego, spokojnego życia domowego życiu wojennemu. Jest też więcej rycerskiego ducha w tej pieśni. Żołnierz czuje, że jego krwawa służba cześć mu przynosi (choć i żołnierz obszarpany — przecież idzie między pany), i zaciąga się do wojska, nie jako złudzony obietnicami, ale jakby z poczucia obowiązku:

W bębny, kotły zabębniłi,
Na wojenkę zatrąbili:
Starsza siostra brata miała,
Na wojenkę go wysłała,
W prawą rączkę miecz mu dała,
Sama rzewnie zapłakała.
Nie płacz, nie płacz, siostro brata,
Powrócę ja za trzy lata.

Wreszcie prawdziwie rycerski jest obraz jego śmierci i jego stosunku do konia:

Niedaleko w czystym polu
Leży sobie na kamieniu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu;
Konik jego wedle niego
Grzebie nóżką, żałuje go i t. d.

Rozwinęła się i rozkwitła piękna późniejsza polska pieśń żołnierska, zwłaszcza zaś współczesna legionowa, ale motywy z tych piosenek najdawniejszych powtarzają się w niej nieustannie. Powtarza się i ton zasadniczy: humor czasem desperacki, połączony z głębokiem, nieraz do wyżyn bohaterstwa sięgającym poczuciem obowiązku. Stąd też pieśń żołnierska mieć będzie już zawsze swoją kartę odrębną w dziejach naszej twórczości umysłowej.

Wojski.

Z teorii i praktyki wojskowej.

Co może zdziałać śmiała decyzja.

W dniach 22, 23, 24, 25 grudnia 1914 r. stoczyły oddziały I brygady Legionów Polskich pod wsią Łowczówkiem bitwę z moskalami. Pozycje I baonu 1 p. p. ciągnęły się wzdłuż pasma wzgórz. I plut. 2 komp., pod dowództwem ppor. Witolda Sadowskiego, zajmował okopy na lewym skrzydle I baonu. Na lewo od nas znajdował się baon III, lecz pomiędzy nami a III baonem była luka, około 500 kroków.

Wysłany na przedpole patrol z 7 ludzi złożył ppor. Sadowskiemu meldunek o ataku rosyjskim. Siły rosyjskie wynosiły w przybliżeniu 3—4 komp. Natychmiast zostały wydane wszelkie konieczne zarządzenia, celem odparcia ataku. Po upływie 2 godzin, mniej więcej około g. 4 popoł., szybki ogień 4 ludzi, którzy znajdowali się na skraju wawozu, przecinającego prostopadłe nasze pozycje, uprzedził nas o rosyjskim ataku ze skrzydła.

Sytuacja okazała się poprostu rozpaczliwą: nietylko nam groziła zguba, ale cały batalion mógł być oskrzydłony i zmuszony do ustąpienia.

Sytuację uratował ppor. Witold-Sadowski, który jedynych ludzi, jakich miał w danej chwili do rozporządzenia, w liczbie 8, poderwał z miejsca i na ich czele runął do kontrataku. Zdumieni i przerażeni wściekłością i rozmachem ataku naszego moskale cofnęli się, a część ich, około 40 ludzi, poddało się. Ciężko ranny, ppor. Sadowski, pomimo prośb naszych, nie chciał opuścić plutonu; dopiero po długich naleganiach ze strony żołnierzy pozwolił odprowadzić się na punkt opatrunkowy.

W wyżej opisanym kontrataku brali udział: szer. Sapoń, Krzywonos, Walicki, Kobak, Draczyński, Lubaczewski Józef, Zboński, Pawlus.

Jan Walicki.

Przykład dzielnego zachowania się w walce.

W bitwie pod Wysokiem-Litewskim, 24.VIII.16, znajdował się żołnierz w 2 kompanii I baonu 5 pułku nazwiskiem Hans Benesch. Był to z pochodzenia Niemiec, wiedeńczyk; do Legionów wstąpił dla towarzystwa, jak się sam wyrażał, gdyż miał kolegów polaków. Benesch w kompanii nie zasługiwał na specjalne wyróżnienie, a nawet nazywano go „ufermą“; bawił kolegów bądź kaleczeniem mowy polskiej, bądź swoimi niezgrabnymi ruchami. W bitwie pod Wysokiem-Litewskim Benesch zostaje ranny; w braku sanitariuszy opatrują mu ranę koledzy, dopomagając jednocześnie pakować się na „hinterland“. Odchodzi, życzliwie żegnany, zbratany z kolegami przelaniem krwi za ich Ojczyznę. Moskale odpierają ataki, siejąc gęsto kulami. Po upływie kwadransu ktoś wraca, utykając przez zagony; zdaleka poznano Benescha... Podnosi się krzyk, radość ogólna, a Benesch przyczołguje się ze słowami: „Mit solchen Kameraden muss ich zweimal verwundet werden“.

W tej samej bitwie otrzymał drugi postrzał w bok i na propozycję odniesienia go do zakładu sanitarnego — rzekł: „nie, z takimi kolegami ja muszę umrzeć!“

Pod wieczór otrzymał trzeci postrzał w rękę i dopiero omdlałego, z powodu upływu krwi, odniesiono do szpitala polowego.

Jest to przykład dobrego i rzetelnego stosunku względem towarzyszy broni.

Zygmunt Kamiński.

Życie żołnierskie.

Drugi kurs mierniczy.

Z dniem 15 czerwca zostaje utworzony w Warszawie drugi kurs w szkole mierniczej. Czas trwania kursu około czterech miesięcy. Pragnący poświęcić się w przyszłości zawodowi mierniczemu oficerowie i podoficerowie, mogą meldować się do szkoły; pożądane jest jednak by zgłaszali się ludzie z pewnem wykształceniem technicznym.

Walka korpusu gen. Muśnickiego z rosyjanami.

W dniu 9 maja wojska bolszewickie w liczbie około 8000 piechoty, 3 — 4 szwadronów kawalerii i kilku dział podsunęły się pod Mohylów i zaczęły ostrzeliwanie. Znajdujące się na lewym brzegu słabe polskie oddziały walkę przyjęły i, walcząc obok znajdującego

się tam oddziału Kornilowa, ataki bolszewickie odparły; a dn. 11 maja, dzięki doskonałej działalności artylerii i rezerwom, które zdołały nadejść na pole walki, zadały dotkliwą klęskę napastnikom. Oddziały polskie poniosły zadziwiająco małe straty: zabici — 1 oficer i 3 żołnierzy, ranni — 3 oficerów i 50 żołnierzy.

Rozwiązanie korpusu gen. Muśnickiego.

W końcu zeszłego miesiąca, na podstawie umowy zawartej z gen. mjr. Karnickim, przedstawicielem dowództwa I Korpusu, nastąpiło rozwiązanie Korpusu i przejęcie wszystkich spraw związanych z takowym przez władze niemieckie. Jako powody rozwiązania komunikat oficjalny podał: zły stan finansowy i połączone z tym rekwizyce, oraz zatargi z ludnością rosyjską. W dalszym ciągu komunikat pisze, że żołnierze pono radzi są, że po 4 latach wojny powrócą do uwolnionej przez państwa centralne Ojczyzny.

Martyrologja jeńców polaków w Rosyi.

Mimo głośnych bardzo zapowiedzi humanitarnych „braterskiego” narodu — los jeńców — polaków w Rosyi ciężkim był i ciężkim pozostał mimo przewrotów rewolucyjnych. Rząd carski używał masowo jeńców do robót przy nowych kolejach. A więc n. p. w lasach gub. Ołonieckiej, o setki wiorst od siedzib ludzkich, w barakach wiatrem podszytych, na błotnistym, niezdrowym gruncie zbudowanych — gnieździły się tysiące chlebem i wodą odżywianych, z wycieńczenia chorych, a do pracy kijem zaganianych jeńców. Pracować zmuszano bez względu na temperaturę, w czasie upałów największych i mrozu 40 stopniowego, przy braku zupełnym opieki sanitarnej, tak, że chorzy przebywali razem ze zdrowymi, a często trupy nawet pozostawały między żywymi po dni kilka. Z 40000 przeszło 10000 zginęło na szkorbut. Te same okropne warunki mieli jeńcy, pracujący przy budowie kolei murmańskiej, gdzie z 8000 ludzi połowa blisko pozostała w barakach Husianki, Bieryczków, Weresni, którym lud okoliczny nadał straszną nazwę „baraków śmierci”.

Na wschodzie zaś Rosyi, w Wiackiej gub., w lasach Iżewskich, pracowało przy wyrębie 18000 ludzi. Bicie, głodzenie było tu na porządku dziennym, tak, że w raportach swych naczelnik wojenny stale domagał się wejrzenia w sprawę władz wyższych i ukrócenia samowoli. Doprowadzono do tego, że ludzie błagali o śmierć; inni, rozpaczeni, sami ją sobie zadawali.

W obozach koncentracyjnych ginęli masami inteligenci na gruźlicę i inne choroby. W Wierchnieudzińsku np. w ciągu roku z 36000 jeńców zanotowano 4000 wypadków śmierci, mimo iż nie było tam żadnej epidemii.

Warunki te, jak wspomniałem wyżej, nie zmieniły się wcale i po rewolucyi, która pochłonięta „pryncypiami” — nie miała czasu zając się losem nowoczesnych niewolników.

Żołnierz polski.

W numerze „Żołnierza polskiego“ z dnia 26 kwietnia b. r., pisma wydawanego przez były I Korpus polski w Bobrujsku, — snuje M. Wańkowicz nie serdecznych rozmyślań o żołnierzu polskim.

Przypomina niedawne, a odległe tak bardzo czasy, gdy „rozsypani, rozrzućeni, jak „liście“ przez wiatru podmuchy, tkwili rodacy w wojsku rosyjskiem, w otoczeniu wrogiem często, obcem zawsze, jako „soldaty“ — niewolnicy, z konieczności cudzej sprawy broniący. Nic więc dziwnego, że uważali służbę wojskową za dopust boży, nie nawidzili jej z serca.

Zła moc, której służyć musieli, jadłem zatrzymywała dusze „soldackie“.

Zawsze niby posłuszny, podejrzliwie i wrogo zachowywał się żołnierz rosyjski wobec swych przełożonych, wszędzie wietrzył, że go „prodajut“, i rzeczywiście, sprawę jego wszyscy prawie zdradzali.

I oto z tych „soldatów“ powstały oddziały polskie...

Ze smutkiem autor przyznaje, że z początku interesował się żołnierz tylko jakością i ilością pożywienia, że gdy mu cokolwiek nie podobało się, żądał papierów „do swojej rosyjskiej części“. I dopiero trzeba było walki z bolszewikami, by poczuł się mocniej związanym z szeregi bratnimi. Znajdowali się i wówczas tacy, co ociągali, się co dziesiątkami przed walką szeregi opuszczali; były to jednak pojedyncze już wypadki, ogół ochotnie do boju szedł, nie pytając, ilu jest wrogów, tylko gdzie oni są.

Pod płaszczykami „soldackimi“ zabili wreszcie serca żołnierskie polskie.

A gdy korpus znalazł się zdala od armii rosyjskiej, trądem rozkładu zarażonej, nastroj i wygląd nawet żołnierza uległy gruntownej zmianie.

Czystym i schludnym staje się żołnierz. Dumnym być poczyną, że nosi mundur polski!

Niby nic — te pętlące amarantowe, wypustki, lampasy, te guziki, te orły srebrnopyóre ponad czołami, a przecież, o ile weselej i śmiej, jarzą się oczy żołnierza.

Jak żołnierz narodów innych, żołnierz nasz coraz bardziej duchem łączy się do Ojczyzny miłej; ten jeszcze tak niedawno soldat-niewolnik, coraz bardziej czuje się żołnierzem-obywatelem, gotowym w służbie zaszczytnej krew swoją przelać.

Żywa nie tradycyi poczyną łączyć tego żołnierza naszego z wojskiem polskiem; pękły już wszystkie spoidła, wiążące go przez lat niewoli tyle z „soldatami“ moskiewskimi.

Gdyż... „żołnierz polski — konkluduje autor artykułu — to twar-
da sztuka, co ma karabin w garści, a imię Polski na ustach i w sercu,
i umysł jasny, i sumienie czyste“.

W. D.

Pochodzenie maciejówki.

Komisya do spraw umundurowania urzędników stwierdziła, że „maciejówka“ nie jest rodzinnem nakryciem głowy, a przywędrowała do nas z Niemiec wraz z handlarzami inwentarza, zwanymi potocznie „panami Maciejami“.

W Niemczech zaś powstała około roku 1848, gdy młodzież, pragnąc zamanifestować swą wolnomyślność, przygięła boki noszonych ówczesnie czapek wysokich stojących, przypominających „mycki“ wojskowe.—Od roku 1905 „maciejówka“ zyskuje obywatelstwo dzięki noszeniu jej przez członków organizacyi rewolucyjnych; stąd przeszła do „Strzelca“, a zatem do Legionów, które ją ostatecznie unarodowiły.

Czapką polską z pochodzenia pozostaje — rogatywka, zrodzona w Krakowskiem, rozpowszechniona przez konfederatów barskich, na świat cały wsławiona przez naszych ułanów.—

Obóz IV w Ostrowiu Łomżyńskim.

Nowo-utworzony obóz IV w Ostrowiu—to obóz szkolny, jakby go można było nazwać.

Formacje szkolne, a więc Szkoła Podchorążych i Szkoła Podoficerska, przeniesione tutaj zostały z dawnych koszar piechoty rosyjskiej—do koszar rosyjskiej artyleryi.

Za wielkimi polami ćwiczeń piechoty, wśród piaszczystej wydmy łomżyńskiego krajobrazu, wśród lasów sosnowych — stoi samotny szereg czerwonych domów koszarowych, siedziba najistotniejszych kadr przyszłej polskiej armii.

Te zimne napozór koszary wrą życiem od najwcześniejszego ranka — kipią gorączkową pracą nad przygotowaniem pierwszego zastępu oficerów i podoficerów, którzy, jeśli los pozwoli, ujmą w swoje ręce pierwszy pobór polskiego rekruta..

Kiedy się idzie poprzez las od dawnego obozu, pozostawionego formacyom liniowym—poprzez las komorowski—wyrasta nagle przed oczyma kompleks budynków. Typowe rosyjskie koszary, przeznaczone dla koszystującej tutaj dawniej 6-ej czy 7-ej brygady artyleryi. Właściwe koszary stoją tuż przy szosie, biegnącej z Ostrowia do Różana. W jednym z dwu budynków znalazła pomieszczenie Szkoła Podchorążych, w drugim Szkoła Podoficerska. Naprzeciw nich, po drugiej stronie szosy, szereg drobniejszych domków — to łaźnie, mieszkania oficerskie i kasyno.

Kasyno podchorążych mieści się w wielkich salach budynku Szkoły Podoficerskiej. Obok—specyalny dom warsztatów, gdzie stale pracują rzemieślnicy szkolni. Tamże mieści się specyalnie dla kadetów urządzona fryzzeria. Za głównymi budynkami, w stronę Komorowa, ciągną się liczne—puste dziś, aż do chwili, gdy w siłę wzrośnie polska artyleria—składy i stajnie artylerii rosyjskiej. Wszystko w małej dolinie, wyjątkowo suchej, piaszczystej — otoczonej niemal ze wszystkich stron lasem sosnowym, żywicznym.

Jak dla koszar—miejsce doskonale obrane, zdrowe, pełne świeżego, najlepszego powietrza.

Odległość od miasta Ostrowia wynosi około 2½ klm., od stacji kolejowej natomiast—5 klm.

Tak się zewnątrz przedstawia nowy polski obóz szkolny, nazwany czwartym.

Wewnątrz, organizacyjnie, obóz ten jest wydzieloną częścią składową dawnego obozu batalionów rekruckich, podległego bezpośrednio Inspektoratowi Szkół Piechoty, a więc p. pułk. Berbeckiemu. Dawną Szkołę Podchorążych i Szkołę Podoficerską — uzupełnioną do pół batalionu—złączono tutaj w całość.

Komendantem całej załogi, a zarazem Szkoły Podchorążych jest p. mjr. Kukiel.

Szkołę podoficerską prowadzi, jako batalion—nawiaz dwukompanijny tylko—p. kpt. Zawiaślak.

Komendę kompanii szkolnej ma powierzona sobie p. kpt. Mozdyniewicz.

Dzieli się szkoła na 3 klasy i poddziały pod dowództwem por.-ów Myszkowskiego, Załuski (I kl.), Porwita (II kl.) i ppor. Kary (III kl.) Trzecia klasa stanowi zawiązek nowej grupy elewów, która została uzupełniona z dniem 10 maja r. b.—wolnym zastępem 50 kadetów; ci ostatni rekrutują się przeważnie ze zgłoszonych do służby wojskowej w miesiącach marcu i kwietniu.

Najbardziej zaawansowane w nauce klasa I, oraz, złożona z byłych żołnierzy i podoficerów legionowych, t. zw. „klasa frontowa“ — kończą kurs w ciągu 2—3 najbliższych miesięcy.

Za nimi w kolejnych odstępach czasu pójdą kl. II i III, złożone z ochotników, zaciągniętych od grudnia ub. roku.

Jako dopełniający przedmiot—wprowadzono ostatnio naukę obowiązkową języków: niemieckiego i rosyjskiego. Zresztą kurs nauk pozostawiono tenże, co i dla klasy A, ukończonej w styczniu r. b.

Pisałem już o nim w zeszycie 8 „Wiarusa“.

Szkoła Podoficerska,—powiększona znacznie o liczbę tych szeregowców, zaciągniętych w grudniu r. ub., którzy po przejściu kursu rekruckiego zostali zakwalifikowani jako materyał podoficerski—tworzy

obecnie batalion dwukompanijny. Kompania trzecia—posiadająca już zespół oficerów i instruktorów—rozpoczęła pracę w połowie maja.

Kompanię pierwszą Szkoły Podoficerskiej prowadzi por. Januszajtis, drugą—por. Trapszo.

Szkolenie podoficerów ma charakter przeważnie praktyczny. Musztra, ćwiczenia polowe i służba wart stanowią tutaj kościół wykształcenia. Tylko bardzo nieliczne wykłady teoretyczne uzupełniają wyszkolenie podoficera polskiego.

Natomiast bardzo duży nacisk kładzie się na samodzielność i orientację materiału podoficerskiego w zadaniach, jakie przed nim stoją.

Praca twarda, sumienna, systematyczna wre w obozie IV od wczesnego ranka do wieczora... Robi się tutaj wszystko pod znakiem tej przyszłości, która oby nadeszła jaknajprędzej....

t. z.

SPIS TREŚCI: St. Rostworowski: Rokitna. — Kasper Zelechowski: Pobudka. — J. M.: Bitwa pod Kirchholmem. — W. Drojewski: Wiadomości z taktyki piechoty dla żołnierzy. — Wojski: Dawna pieśń żołnierska. — Z teorii i praktyki: Jan Walicki: Co może zdziałać śmiała decyzja. — Zygmunt Kamiński: Przykład dzielnego zachowania się w walce. — Życie żołnierskie: Drugi kurs mierniczy. Walka korpusu gen. Muśnickiego z rosyjanami. Rozwiązanie korpusu gen. Muśnickiego. Martyrologia jeńców polaków w Rosyi. — W. D.: Żołnierz polski. Pochodzenie maciejówki. t. z. Obóz IV w Ostrowiu Łomżyńskim.

Redaktor: Dr. W. TOKARZ.

„Wiarus“ Pismo dla żołnierzy polskich, wydawane przez Komisję Wojskową, wychodzi w Warszawie 3 razy miesięcznie: 1-go, 10-go i 20-go. Adres Redakcyi: Komisya Wojskowa, Królewska 35. Adres Administracyi: Księgarnia W. Jakowickiego, Bracka 23. Skrzynka pocztowa Nr 22.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi: miesięcznie 1.20 mk. (1.80 k.), kwartalnie 3 mk. (5 k.), rocznie 12 mk. (20 k.).

Dla wojskowych prenumerata zniżona: miesięcznie 60 fen. (90 hal.), kwartalnie 1.50 mk. (2.50 k.), rocznie 6 mk. (10 k.).

Cena pojedynczego zeszytu: 40 fen. (60 hal.), dla wojskowych 20 fen. (30 hal.).

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau, d. 27.V 1918.

Druk L. Billińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.